

Głos eucharystyczny

ROK XIII GRUDZIEŃ 1930 Nr. 12

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: LWÓW, ORMIAŃSKA 13.

Konto czekowe w P. K. O. Nr. 151.252.

Cena zeszytu 25 groszy.

Do P. T. Prenumeratorów!

W roku 1931 wychodzić będzie Głos, podobnie jak w roku 1930, w dwóch częściach: osobno artykuły i osobno adoracje.

Wielu prenumeratorów nie zapłaciło jeszcze za rok 1930. Prosimy bardzo, by uczynili to w najbliższych dniach.

Zaznaczamy, że tym, którzy nie mogą zapłacić, wysyłamy chętnie Głos Eucharystyczny bezpłatnie, muszą jednak o tem Administrację zawiadomić.

Prenumerata na rok 1931 pozostaje bez zmiany. Wynosi 3 złote. Prenumerata zagraniczna 4 zł.

Prosimy też bardzo o rozszerzanie Głosu Euchar. Jest to — śmiemy powiedzieć — jeden z ważnych obowiązków czcicieli Najśw. Sakramentu.

Nr. 12. GRUDZIEŃ — 1930. Rok XIII.

GŁOS EUCHARYSTYCZNY

PISMO MIESIĘCZNE DLA KAPŁANÓW I WIERNYCH



POŚWIĘCONE SZERZENIU CZCI PRZENAJŚW. SAKRAMENTU OŁTARZA

Do P. T. Prenumeratorów.

Kończąc 13-ty rok wydawania Głosu Eucharystycznego, dziękujemy bardzo przedewszystkiem wszystkim współpracownikom, którzy zasilali pismo artykułami i wiadomościami z ruchu eucharyst. Dziękujemy dalej wszystkim P. T. Prenumeratorom i Ofiarodawcom na fundusz wydawniczy. Dziękujemy też tym, którzy zjednywali Głosowi Euch. nowych prenumeratorów. Za wszystkich Przyjaciół pisma odprawi się Msza św. w święto Niepokalanego Poczęcia N. M. P. Niech Jezus eucharystyczny stokrotnie im zapłaci.

Wszystkich Przyjaciół pisma prosimy bardzo o współpracę przez nadsyłanie artykułów i sprawozdań z ruchu eucharyst. Obok tego mamy jeszcze szczególną prośbę o rozszerzanie pisma. Niejeden zaprenumerowałby pismo eucharystyczne, gdyby je znał. Prosimy więc bardzo o podawanie pisma do czytania innym i o zachęcanie do prenumeraty swoich znajomych. Najlepiej byłoby podać nam ich adresy, a poślemy im numery okazowe. Niech każdy stara się zjednać przynajmniej jednego czytelnika. O ile ktoś jest bardzo biedny, poślemy mu „Głos“ bezpłatnie.

Pieśń wdzięczności.

O jakto słodko wracać do Ciebie, o Chryste,
Na łonie Twojem spocząć po trudach i znoju,
Zapalić znowu w sercu gwiazdy promieniste,
Co wiodą w kraj miłości, szczęścia i pokoju.

O jakto słodko zasiąść do uczty Twej, Boże,
Zgłodniałą duszę karmić Twym żywota chlebem,
I chyląc przed ołtarzem swe ciało w pokorze,
Choć jeszcze tu na ziemi, już cieszyć się niebem.

O jakto słodko Chryste!... Więc dzięki Ci, Panie,
Żeś mi dozwolił znowu przyjść do stóp Twych świętych,
I złożyć Tobie wierne serca miłowanie
I z łask Twych, Zbawco świata, czerpać niepojętych.

Więc dzięki Tobie, słodki Baranku Ty Boży,
Za ono szczęście wielkie bez słów i bez miary,
Żeś mi ukazał, Panie, blaski Twojej zorzy
I zapalił w mej duszy jasny promień wiary!

Więc dzięki Tobie, Chryste! Miłością przejęty
Klęka przed Tobą, Stwórco, duch mój rozmodlony
I woła, Chryste Boże, o wielki i święty,
Za Chleb Żywota Twego bądź błogosławiony!

Z. N.

Bóg — Miłość.

(Ciąg dalszy.)

4. Eucharystja.

Miarą i sprawdzianem wszelkiej miłości jest ofiara, stopień wyzucia się i poświęcenia dla ukochanej istoty. Miarą miłości Chrystusa w Eucharystji to niezgłębiona przepaść Jego w Niej poniżenia z jednej, a bezgranicznej ofiarności z drugiej strony.

Przyjęcie stanu sakramentalnego i związanych z nim warunków życia było drugiem po wcieleniu i większem jeszcze unicestwieniem się Boga-Człowieka; już nie częściowem, lecz zupełnem niejako zaćmieniem Słońca sprawiedliwości. Jezus w Hostji utajony jest tym Jonatą, który

się dla nas z wszystkiego ogołocił. Mówią nam księgi święte o owym przyjacielu przyszłego króla izraelskiego, że „zdjął z siebie... szatę, w której chodził, i dał ją Dawidowi, i inne szaty swe, aż do miecza swego i łuku swego i aż do pasa rycerskiego“ (I Król. XVIII, 4). Jezus z miłości dla człowieka pozbawił się blasku, chwały i majestatu Bóstwa, uroku, aureoli i dostojności człowieczeństwa; wyrzekł się nawet znamion osoby żyjącej; tego wszystkiego, co o życiu ludzkiem i świadczy i w czem się ono przejawia, jak używania zmysłów, mowy, ruchu, działania widzialnego. Ukochał mnie więcej — powiedzieć sobie może każdy z nas — niż Swoją chwałę, szczęśliwość; ukochał ponad Swą wolność i życie chwalebne po prawicy Ojca.

Miłość, która w śmiertelnem życiu Zbawcy doprowadziła do zgorszenia krzyżowego (Gal. V, 11), zstąpiła przy ustanowieniu Przen. Sakramentu do ostatecznych głębin wyniszczenia i zapomnienia o sobie. Ona to pobudziła Pana naszego do dobrowolnego ubezwładnienia się, do uzależnienia od stworzeń i zakucia się w więzy sakramentalne. „O miłości! — woła św. Bernard — jak silne są okowy twoje, skoro skrępować zdołały Boga!“ „Miłość tylko mogła poddać wszechmoc Majestatu Bożego i przyprawić jakby o szał niezgłębioną Jego mądrość. Ona to wylała nadobficie słodkie skarby Jego dobroci, ugięła srogość Bożej sprawiedliwości i w słodycz ją przemieniła. Ona wreszcie poniżyła Boga Majestatu, skazując Go na wygnanie wśród naszej nędzy“, mówi św. Mechtylda w swych objawieniach. A św. Franciszek Seraficki, rozważając tajemnicę wcielenia, woła do Pana Jezusa: „Nie mogłeś obronić się miłości! Ona sprowadziła Cię z nieba na ziemię. O miłości! Zstąpiłaś na taki stopień poniżenia, że widziano cię idącą przez świat jak człowiek ostatniego rzędu; nie chciałaś mieszkania ani dobra, a to ubóstwo miało na celu wzbogacenie nas. W życiu i przy śmierci okazałeś, Jezu, przez znaki niezawodne, miłość bez miary, jaką gorzało Serce Twoje!“ [1]).

---

[1]) Sauve: „L'homme intime“, t. II, str. 163.

Z ust św. Wincentego Fererjusza wydobywają się u stóp krzyża te słowa: „Dostałeś obłędu, Chryste, bo szaleństwem zaprawdę jest taka miłość!" — „Oszalały z miłości — woła w uniesieniu ducha św. Katarzyna Sieneńska („Dialogi") — niedość Ci było wcielić się, chciałeś jeszcze umrzeć. A miłosierdzie Twoje uczyniło jeszcze więcej; pozostawiłeś się na pokarm. O miłosierdzie! Serce moje przemienia się całe w ogień, gdy o Tobie myślę". — „Żłóbek, krzyż i ołtarz to trzy szaleństwa Jezusa — mówi znany pisarz duchowny (Ks. Bp. Gay), a Lacordaire zaznacza, że w chrześcijaństwie spotykamy na każdym kroku szaleństwa. „Oto szczyt, ostatni wysiłek, Boski szał miłości" — woła wpatrzona w Eucharystję jedna z tych dusz seraficznych, która „miała do szału posuniętą miłość", jak się o niej biograf wyraża [2]).

O stopniu miłości świadczy też wielkość i wspaniałość daru, oraz hojność i bezinteresowność w udzielaniu go. Jeśli wszystkie sakramenta są przedziwnemi wynalazkami, a zarazem wylewami Bożej miłości, to cóż mówić o tym najświętszym i najcudowniejszym, w którym dochodzi ona nietylko już do współżycia Boga z człowiekiem, jak we wcieleniu, lecz do łączenia się z nim ciałem i duszą, by z Panem jedno stanowił i niejako w Niego się przemienił.

Prosił prorok Elizeusz Eljasza, by spoczął na nim duch jego (IV Król. II, 9—12). Na nas nietylko duch Jezusowy spoczywa, lecz mamy wśród nas Jego własną Osobę i do duszy Ją przyjmujemy.

Żyć z nami, mieszkać wpośrodku nas nie zadowoliło Jego miłości. Miłość zmierza do zjednoczenia — mówi św. Augustyn. Nadmiar miłości dla biednej naszej ludzkości natchnął Jezusa tym pomysłem, nasunął Mu ten wynalazek miłości, jakim jest Komunja św. To kres ostateczny miłości. Nie jest zbytnią śmiałością nazwanie Eucharystji arcydziełem Bożej miłości. Przebiegnijmy myślą — mówi błog. Albert Wielki — wszystkie stopnie Boskiej dobroci, a zobaczymy, że Eucharystja jest ostatnim najwyższym z nich.

---

[2]) Ks. Gay: „Żywot Marji Eustelli".

Miłość jest wylaniem, poświęceniem się dla drugiego. Ona daje i daje, a zawsze dla ukochanego; daje wszystko, a krom tego i przedewszystkiem daje siebie samego!... miłość ma swój skutek, jej jednej właściwy: oddanie siebie samego ukochanemu [3]. „O cudowna i podziwu godna szczodrobliwości, która sprawia, że Dawca staje się darem!“ [4]. Miłość hojna, wspaniałomyślna, odnosi świetny triumf w tej tajemnicy, w której Jezus daje się cały, niczego dla Siebie nie zatrzymując, lecz oddając wszystko na nasz użytek [5].

(Dok. nast.) *H. Lut.*

Eucharystja w życiu Kościoła.

Z referatu X. J. Rostworowskiego na kongresie Eucharyst. w Poznaniu.

Oprócz kośćca hierarchji oraz żył i nerwów tych rozmaitych „spojeń“, o jakich tak wymownie mówi Apostoł, do samej istoty Kościoła, jako mistycznego ciała Chrystusowego należy życie łaski, które ustawicznie krążąc po całym organizmie, rozlewa się aż do ostatnich kończyn. Ponieważ to życie łaski Kościołowi jako całości jest absolutnie konieczne, stworzył dla niej Chrystus odrębne, wnętrzne Kościołowi, źródła, które wydają ustawicznie tę „wodę tryskającą na żywot wieczny“. Z tych źródeł sakramentalnych jednak jedno jest najgłębsze, bo ono nawet wszystkie inne zasila, a jest niem owa przedziwna obecność Zbawiciela pod postaciami chleba, jako pokarmu i jako ofiary. Eucharystja należy więc do samej istoty katolickiego Kościoła. Bez niej Kościół nie byłby tem, czem jest, ale czem innem, nieporównanie niższem. Ona jest więcej niż sercem Kościoła, bo ona niejako wyrabia te soki nadprzyrodzone, któremi całe ciało Chrystusowe żyje.

Zrozumiał to Kościół od pierwszej chwili. Jakkolwiek po ludzku można było się obawiać, czy ten niepojęty, prawdziwie wstrząsający i jakby przygniatający dogmat nie będzie dla wiary zbyt ciężkiem brzemieniem, od samego początku Kościół uwierzył słowom Zbawiciela

---

[3]) O. Semenko: „Credo“, str. 85.

[4]) „O singularis et admiranda liberalitas, ubi Donator venit in donum!“ (Urb. IV).

[5]) „Totum ad nostros usus expensus“.

z cudowną wprost mocą i prostotą. A uwierzywszy, zamienił Eucharystję na główną treść swego zbiorowego życia, swych obchodów, swych modlitw. Potwierdza to cały szereg wymownych przykładów. A wiara ta, wyrażona w rozlicznej praktyce była tak potężna i uświadomiona i głęboka, że przez długie wieki nie było prawie herezyj, które wprost zaczepiałyby artykuł wiary o realnej obecności Zbawiciela pod postaciami a były natomiast bardzo jasne i dokładne tej wiary wyjaśnienia i stwierdzenia.

Gdy u świtu średniowiecza i potem pojawiają się pierwsze przeczenia, Kościół bierze stąd pobudkę z jednej strony do jeszcze dokładniejszego określenia swej wiary, z drugiej strony do pewnego ślicznego rozwoju. Oto ten Chrystus sakramentalny, który niegdyś brany był bardziej nieosobowo, jako „ciało" Pańskie, zaczyna w życiu i w myśli Kościoła coraz wymowniej występować jako „osoba", jako żywy i cały Zbawiciel na ołtarzach naszych obecny. Odpowiednio do tego powstają nowe, nieznane dawniej praktyki: procesje, adoracje, nowe rodzaje modlitw i t. d. Dziś to współżycie z Chrystusem utajonym jako żywą, obecną pomiędzy nami „osobą" dochodzi do przecudnych objawów wiary i nabożeństwa, które znów rodzą owoce przedziwnej świętości.

Co będzie dalej? Ku czemu idziemy po tej linji? W jakim kierunku rozwinie się jeszcze kult Eucharystji, który zdaje się już dziś dochodzić do szczytu? Sądzimy, że z obrzędowej strony nie wiele da się już postąpić, ale będzie niewątpliwie postępować uświęcenie przez Eucharystję dusz i zbrojenie ich na bardzo ciężkie idące walki i niezmiernie poważne życiowe problemy. Eucharystja będzie coraz pełniej „chlebem żywym, dającym żywot świata". Ona podtrzyma, owszem potęgować będzie nadprzyrodzoność wobec zalewu czysto naturalnych dążeń, ona wywrze potężny wpływ apostolski dla przyciągnięcia heretyków i niewiernych, ona uduchowni i uświęci rodzinę, ona tchnie w serca tę miłość, jakiej wymagać będzie w ogromnej mierze nieodzowna reforma społecznych i międzynarodowych stosunków.

Katarzyna de Bar (M. Marja Mechtylda od Przen. Sakramentu).

(Ciąg dalszy.)

Konstytucje napisane przez M. Mechtyldę, oparte ściśle na regule św. O. Benedykta, przyjęte zostały z radością

przez wszystkie zakonnice i wypełniane wiernie. Mądrość i umiarkowanie, przy gorącej miłości Przen. Sakramentu, widnieją z każdej karty tej księgi, a prawie każdy rozdział przypomina że Sakramentka powinna być ofiarą. Zatwierdzenie Stolicy świętej przyszło niestety dopiero po śmierci M. Mechtyldy. Instytut zawdzięcza je znowu królowej Marji Kazimierze, która nawet pragnęła założyć klasztor Sakramentek w Rzymie, rzecz wszakże upadła z powodu braku funduszów.

M. Mechtylda zaopatrzyła swój Instytut nadto i w inne dzieła potrzebne do dobrego zarządu klasztorów, jak: „Dziennik zakonny“, zbiór przepisów do codziennego użytku potrzebnych, „Cwiczenia zakonne“, „Ceremonjał“ i „Regulamin urzędniczek“. Ponadto miewała do swoich córek konferencje duchowne, które one z całym pietyzmem spisywały jako drogocenną spuściznę ducha swej ukochanej Matki.

Ona sama była uosobieniem tego ideału Sakramentki, który w pismach swoich nakreślić usiłowała.

Wielkiemi obdarzona darami przyrodzonemi, powierzchowności pociągającej, cenioną była i uwielbianą przez wszystkich, co ją znali, a jednak ukrycie i wyniszczenie były jedynem jej pragnieniem, a poczucie własnej nicości podstawą głębokiej jej pokory. Całe jej życie i cała istota były tak zupełnie oddane miłości i czci Przen. Sakramentu, że pragnęła zupełnego wyniszczenia siebie, byle tylko Jezus-Hostja, umiłowany jej duszy, był uwielbiony i wywyższony.

Zamiłowanie ukrycia tak umiała wpoić w swoje córki, że powstała w Instytucie prześliczna legenda, malująca doskonale tę główną cechę ducha Sakramentki. Opowiadają, że w jednym z pierwszych jej klasztorów umarła młodziutka i bardzo świątobliwa zakonnica i pochowaną została na cmentarzu klasztornym. Wkrótce po pogrzebie siostry przybiegają do swej Matki, przejęte radosnym podziwem, donosząc, że na grobie zmarłej zakonnicy wyrosła i zakwitła cudna lilja. Czcigodna Matka pośpieszyła na miejsce. Widząc cud oczywisty, ale przejęta pragnieniem ukrycia i wyniszczenia, uderza cudowny kwiat zlek-

ka, mówiąc: „Toś ty taka Sakramentka, że zdradzasz świętość swoją!“ I oto cudowna lilja posłuszna i jakoby zawstydzona, w oczach zdumionych sióstr znikła powoli w głębi mogiły.

Przechowuje się też tradycja pomiędzy zakonnicami Instytutu, że ich Matka uprosiła sobie u Boga tę łaskę, by ani ona sama ani żadna Sakramentka, pomimo wielkich i licznych oznak świętości, jakie nieraz się zdarzały, nie była nigdy kanonizowaną. W tym zakonie wszystko ma być dla Jezusa a Jego wyniszczenie eucharystyczne ich wzorem i umiłowaniem. To też pomimo że M. Mechtylda zaszczyconą była wielu objawieniami i pomimo cudownych wydarzeń, jakie podziwiamy w jej żywocie, Pan Bóg dopuścił, że podczas rewolucji francuskiej ze zniszczeniem zupełnem pierwszego klasztoru przy ul. Cassette znikły też i jej drogocenne szczątki. M. Mechtylda pozostała ukryta i nieznana, ale dzieło jej przetrwało wieki, rozwija się i rozszerza coraz bardziej, budząc wszędzie cześć i miłość Eucharystji Najświętszej.

Dalszą cechą Czcigodnej Założycielki była ogromna ufność w Opatrzność Bożą i zdanie się zupełne na Jego Boską wolę, co dawało jej siłę niezłomną wśród niezliczonych cierpień, prześladowań i niepowodzeń podczas zakładania klasztorów. Wszystkie przeciwności zastawały ją zawsze spokojną i zdaną zupełnie na Boga. „Jeśli to dzieło Boże, Pan potrafi je utrzymać, a jeśli nie, to niech zaginie“, — tak mówiła i myślała i to było podstawą jej niewzruszonego pokoju.

Dla Córek swoich była najlepszą matką, pełną słodyczy i wyrozumiałości ale bez słabości lub zbytniego pobłażania. Doskonała organizatorka umiała tak wszystkiem zarządzić, że dzieła jej przetrwały wieki. Ale „nadewszystko miejcie miłość“, to było jej cechą główną, miłość Jezusa-Hostji i umiłowanie bliźniego dla Boga.

M. Mechtylda kilkakrotnie w swem życiu chorowała śmiertelnie, ale zawsze wymodlona przez swe córki powracała cudownie do życia, by pracować dalej ku czci Przen. Sakramentu. Doszedłszy do lat 83, pomimo wątłego zdrowia, schorowana, do wszystkich obowiązków by-

ła pierwsza, a oprócz wspólnie odmawianej jutrzni w nocy, odbywała jeszcze trzy godziny adoracji. W ostatniej swej chorobie, pomimo wielkiego osłabienia, przychodziła na wszystkie ćwiczenia, prawie do przedednia swojej chwalebnej śmierci. W wielkim tygodniu wzięła jeszcze udział we wszystkich nabożeństwach.

Na pięć dni przed jej odejściem do ojczyzny niebieskiej, stroskane o nią córki, znalazły ją pogrążoną w gorącej modlitwie w kaplicy Matki Najśw., której polecała i oddawała w opiekę swój Instytut.

We czwartek po Wielkiejnocy, choroba tak się wzmogła, że musiała się położyć. Pośpiesznie udzielono jej Sakramentów św. Przed przyjęciem Komunji św. Matka przeprosiła Zgromadzenie w sposób bardzo rzewny za rzekome przykrości i zgorszenia.

W sobotę 5 kwietnia w nocy spowiadała się jeszcze i przyjęła Komunję świętą. Przejęta czcią dla Najśw. Sakramentu, chciała uklęknąć na przyjęcie Pana, ale spowiednik nie dopuścił do tego. Wpatrzona w Hostję Najświętszą przyjęła ją z rozrzewniającą pobożnością po raz ostatni na wynagrodzenie za wszystkie profanacje i zniewagi jakich Pan Jezus doznaje w Tym Sakramencie. Nad ranem zapytana przez spowiednika, o czem myśli, odrzekła: „Adoruję i poddaję się", a pobłogosławiwszy swe córki zbolałe, zapadła w ciche spokojne konanie, podczas którego całowała tylko i przyciskała do piersi swój krzyżyk, lub wymowne spojrzenie zwracała na obraz Matki Najśw., wreszcie cichutko oddała swe ostatnie tchnienie, dnia 6 kwietnia o godz. 2 popołudniu w r. 1698.

Tak żyła i umarła ta, którą Bóg wybrał na założycielkę pierwszego zakonu Nieustającej Adoracji Najśw. Sakramentu, w duchu ofiary i wynagrodzenia za zniewagi, wzgardę i opuszczenie od ludzi, których doznaje Pan Jezus w Sakramencie Swojej miłości.

Odeszła cicha i wyniszczona po nagrodę do „swojego Ojca w niebie", ale dzieło jej wiekopomne i niespożyte trwać będzie ku chwale Pana Jezusa w Eucharystji Najświętszej i dla zbawienia dusz bratnich.

Apostolstwo Chorych.

List piąty.

Drodzy Chorzy! Pierwszy warunek przyjęcia do Apostolstwa Chorych jest napozór dosyć ciężki: trzeba przyjąć cierpienie, chorobę...

W świetle wiary warunek ten jednak nie jest taki bardzo przykry: mamy przyjąć cierpienie z ręki Boga. Znaczy to: widzieć w cierpieniu najmiłościwszą dobroć Bożą, która daje każdemu to, co mu potrzebne, cierpienie nawet dopuszcza, albo jako lekarstwo albo jako przestrogę, zabezpieczenie, jako sposobność do zasługi lub do postępu. Przyjęcie to będzie mniej przykre, owszem łatwe, jeśli rozważymy, że wola Boża jest wolą Boga-Miłości, z której wszystko poczęło się i do której wszystko zmierza. Ożywieni duchem nadprzyrodzonym i wiarą uczcimy w danem cierpieniu najłaskawsze, nieskończenie ojcowskie zrządzenia Boskiej Opatrzności, dla której nic nie jest przypadkowe, niespodziane, szkodliwe lub opłakania godne, lecz wszystko jest dobre, dobroczynne, ale pod jednym warunkiem... miłości.

Chorzy, cierpiący nie zastanawiają się często tak bardzo na całem znaczeniem słowa „przyjąć". Biorą samo tylko słowo i uważają, że jest nie do przyjęcia. Wielu wydaje się okrutnem żądanie od chorego, by przyjął to właśnie, przez co cierpi, by z dobrą miną znosił to, co go trapi i zgodził się nieść to dalej, czego zaraz chce się pozbyć. Czyż przyjąć cierpienie nie znaczy chcieć go na zawsze i w coraz większym stopniu? Ludzka natura już dość przygnieciona cierpieniem teraz upada zupełnie. Już nic nie widzi poza tym strachem, że jeśli przyjmie, będzie musiała cierpieć na zawsze, gdy tymczasem jedno ją jeszcze podtrzymuje: nadzieja mniej lub więcej wyraźna, może nawet iluzja, że kiedyś wyzdrowieje...

Wielu nie wpisuje się do Ap. Ch. z obawy, że to przyjęcie wyklucza pragnienie, dążenie do uleczenia. Widać, że poważnie biorą sprawę wstąpienia do Ap. Ch. i z tego im zarzutu nie można robić. Trzeba jednak tę sprawę rozważyć, a wtedy pokaże się, że w tym strachu, w tej odmowie kryje się podwójny błąd. Przyjąć nie znaczy podejmować się cierpieć na zawsze. Przyjąć nie znaczy także, że się krótko i stanowczo wyklucza wszelkie pociechy w cierpieniu, dążenie do uleczenia choroby.

Mamy przyjąć obecne, istniejące cierpienie bez żadnego zobowiązania co do przyszłości. Są wprawdzie ludzie, którzy za natchnieniem Bożem i przy pomocy osobnych łask pragną, szukają cierpienia, ślubem związują

się niczego innego nie pragnąć, tylko coraz więcej cierpieć. Jest to bardzo szlachetne, bardzo chwalebne, może częstsze, niż przypuszczamy, ale tego nie można polecić wszystkim, tem mniej wszystkich zobawiązać.

Wymagania Apostolstwa są skromniejsze i prostsze. Przyjmujemy cierpienie takie, jakiem ono jest w danej chwili. Apostolstwo nie szuka nowych cierpień. Cierpienie uważane za niepożyteczne, mogące przejść w cierpienie złe, przetwarza na rzecz dobrą, cenną, dającą pokój i szczęście. Odkrywa w niem tajemne źródła, niewyzyskane skarby dobrego cierpienia.

Jest to tylko proste przyjęcie cierpienia bieżącego, takiego, jak je dopuszczą i dozwala Bóg, nic ponadto, nic poniżej, na tak długo, jak dopuści Bóg, ni mniej, ni więcej. Jest to spokojne oddanie się woli Bożej, zawierające i wolę uleczenia, jeśli Bóg pozwoli, więc i zupełną swobodę dążenia do uleczenia. Słusznie powiedziała jedna chora do drugiej, którą chciała pozyskać do Apostolstwa: „Z tego nie będziesz bardziej chora, to nie powiększy choroby".

Skutki, jakie sprawia to „przyjęcie", udowadniają, że zgodzenie się z wolą Bożą nie jest takie trudne.

Przez co najbardziej cierpią chorzy, zwłaszcza ci, co długo chorują? Czy może wskutek cierpienia fizycznego, cielesnego? To jest tylko część ich krzyża i nie najcięższa. Najwięcej dokucza choremu uczucie niechęci, wstrętu do cierpienia, ten krzyż moralny, duchowy, który podwaja ciężar poprzedniego, fizycznego krzyża. Chory staje się sam sobie jakby katem, wynajduje w swem cierpieniu wszystko, co jeszcze więcej boli, gniewa, niepokoi, obezwładnia. Staje przerażony przed tą nagłą przeszkodą na drodze życia, zgłębia tę przepaść cierpienia i dna nie znajduje. Nie może znaleźć spokoju dla siebie, więc innym też go odbiera, wreszcie aż ku Bogu kieruje swoją niechęć i gniew. Czy taki chory zbuntowany, zniechęcony, zrozpaczony jest bardziej pocieszony, jest bardziej usposobiony do leczenia?

Jest inna droga, bardziej zbliżająca do pociechy, do leczenia. Chorzy godzą się z wolą Bożą, z tą wolą, która da im łaski ukryte w spokojnem cierpieniu. Ci wstąpią śmiało i stanowczo na drogę bolesną, zobaczą, że nią można iść. Trzeba Bogu okazać na tyle zaufania, że cierpienia, które nam przeznaczył, są dobre dla nas, niejako na naszą miarę, na nasz wzrost, odpowiednie do naszych sił i potrzeb.

Do tego nie dochodzi się w jednej chwili. Pokój otrzymuje się tylko przez walkę, jako owoc zwycięstwa,

przynajmniej ten pokój, który przychodzi od Pana, który nie jest z tego świata i który obiecany jest wszystkim duszom dobrej woli.

Wyobrażają sobie ludzie niektórzy, że już dużo i bardzo po chrześcijańsku zrobili, jeśli litowali się nad losem chorego, razem z nim płakali i szczegółowo rozbierali całe nieszczęście. Słusznie, trzeba „płakać z płaczącymi“ i jest wielu chorych, z którymi nic ponadto zrobić nie można. Trzeba jednak uważać, byśmy zamiast pomóc raczej im nie zaszkodzili, pozbawiając ich reszty spokoju i odwagi. Często podtrzymuje się tylko ich przygnębienie, pogłębia uczucie bólu, kołysze zwodniczemi, nieuzasadnionemi nadziejami, które mogą doprowadzić do gorszych rozczarowań.

Musimy dążyć do czegoś zupełnie przeciwnego. Łagodnie, taktownie, z umiarkowaniem trzeba doprowadzić do popatrzenia rzeczom prosto w twarz i do wytworzenia usposobienia „przyjęcia“. Takie popatrzenie na sprawę wprost sprowadzi ją do właściwych rozmiarów. Wyobraźnia ma tak wielki udział w naszych cierpieniach. Gdy rozprószymy zwodnicze nadzieje, powoli spokojnie wejdziemy na drogę bolesną i przekonamy się, że nią można iść, że krzyż, chociaż tak bardzo rzeczywisty, nie jest przez to bardziej krzyżujący, że go można nieść bez obawy gorszego rozchorowania się i śmierci.

Może to jaki cud? Nie, to jest zupełnie logicznie, rozumowo wytłumaczalne na podstawie praw naszego życia duchowego. Powiedzieliśmy na początku, że nasz krzyż fizyczny podwaja się, staje się cięższym przez krzyż moralny, duchowy wskutek naszego wstrętu do cierpienia i daremnych wysiłków, by się go pozbyć. Z chwilą, gdy się uspokoimy, gdy ułożymy się w cierpieniu, uznamy je za nasz stan, znika ten drugi krzyż, któryśmy niepotrzebnie dodawali do pierwszego. Zostaje tylko ten, dany nam przez Boga, nam odpowiadający, jakby dla nas zrobiony. Przyjęcie zamiast obciążać, odciąża, leczy, pociesza. Leczy się nietylko strona duchowa cierpienia, często bardzo wybitnie poprawia się, leczy się i strona fizyczna. Przychodzą nowe pomoce, wyzwalają się te siły nasze i zdolności, które były zajęte zmaganiem się ze stroną moralną, duchową cierpienia i teraz z tem większą energją skierowują się do podniesienia całego człowieka ku górze, ku cierpieniu radosnemu, ku uleczeniu.

Niech Chrystus, który przyniósł pokój ludziom dobrej woli, wzmocni waszą wolę do przyjęcia cierpienia z rąk Bożych. Z serdecznem pozdrowieniem

Sekretarz Apostolstwa Chorych.

Opatrzony św. Sakramentami...

W mieście gruchnęła pogłoska, że prezes kwitnącej instytucji kredytowej, członek wspierający kilku stowarzyszeń humanitarnych, kawaler wielu orderów, do niedawna czerstwy starzec i nad wiek ruchliwy, zapadł niebezpiecznie na zdrowiu, a nawet walczy ze śmiercią. Przyjaciele i krewni napływają do przedpokoju po najświeższe wiadomości o stanie dostojnego pacjenta. Dalszych znajomych dzienniki miejscowe informują codziennie o przebiegu choroby. Dwóch lekarzy czuwa nieustannie u łoża boleści. Być może, że pan prezes umrze niebawem, ale stanie się to według wszelkich prawideł sztuki medycznej dla spokoju nieutulonej wdowy.

U drzwi domu, nawiedzonego nieszczęściem, zjawia się proboszcz. Wychodzi mu naprzeciw służący. Nawiązuje się rozmowa.

— Co tu słychać nowego?

— Księże kanoniku, lekarze mówią, że dziś jest lekkie polepszenie.

— Czy mógłbym widzieć się z chorym?

— Zapytam się.

Służący znika i po chwili wraca.

— Jasna pani kazała podziękować za pamięć i oświadczyć, że czuje się zanadto znużoną i nie może przyjąć księdza proboszcza.

— Proszę się pani kłaniać i powiedzieć, że przyjdę jutro.

Wieczorem pewna osoba, godna zaufania, przybyła na probostwo z wielce niepokojącemi wieściami. Proboszcz ledwo mógł się doczekać rana i tuż po wczesnej Mszy św. podążył do chorego. Znowu drogę mu zabiega służący.

— Wiem, że pan prezes ma się źle. Proszę mnie zameldować.

— Jasna pani nie przyjmuje nikogo.

— Ależ ja muszę się tam dostać. Czas najwyższy zwrócić się do nieba, gdy ziemska nadzieja zawodzi.

Energicznym ruchem proboszcz chwyta za klamkę i szczęśliwie dociera do salonu.

Kilku mężczyzn tam rozmawia ze sobą głosem stłumionym. Wejście księdza zamknęło im usta. Zapanowało kłopotliwe milczenie.

Proboszcz zbliża się do jednego z panów i podaje mu rękę.

— Dowiedziałem się, że prezes dogorywa. Przybywam z posługą kapłańską. Nie przyjdzie mi trudno spełnić ten

obowiązek, gdyż z prezesem łączyły mnie stosunki urzędowe i towarzyskie. Mnogie zajęcia może nie pozwoliły mu odbywać praktyk religijnych, ale w gruncie jest to wierzący katolik...

...Czy nie byłbyś pan tak łaskaw przedstawić mnie pani prezesowej?

W tej chwili podwoje od sypialni się uchylają i wchodzi kobieta blada, jak śmierć. Włosy jej w nieładzie, w oczach przez łzy przezierają blaski febryczne. Widok kapłana wywołuje na jej twarzy znamiona źle ukrytej niechęci.

— Pani dobrodziejko, odzywa się ksiądz, serdecznie odczuwam cierpienia pani... W godzinach trwogi, gdy środki ludzkie nie przynoszą ratunku, trzeba uciec się do Boga... Nie przychodzę w roli gościa, lecz jako kapłan pragnę choremu ofiarować tę pomoc i tę pociechę, jaką rozporządza Kościół św. Na zbawienie wieczne zaklinam panią, pozwól mi przystąpić do męża.

— Księże proboszczu! Dobroć jego wzrusza mnie do głębi, ale, proszę wierzyć, jeszcze nie jest tak źle, jak ksiądz proboszcz przypuszcza; jeszcze wszelka nadzieja nie stracona... o!...

Prezesowa wybucha głośnym płaczem i pada na fotel. Przyszedłszy do siebie, dodaje:

— Lekarze chodzą bardzo starannie koło niego... Nie pozwalają wpuszczać nikogo z obcych... Najmniejsze wzruszenie może go zabić...

— Pani, trzeba patrzyć na rzeczy z wyższego stanowiska. Jesteś pani katoliczką; mąż także. Religja święta w skarbnicy swojej posiada nieprzebrane leki — nietylko dla duszy, ale także dla ciała. Czemu z nich nie korzystać, skoro nauka ludzka już nic nie ma do powiedzenia?

— Księże proboszczu, nauka nie wypowiedziała dotąd ostatniego słowa. Jeżeliby, nie daj Boże, lekarze orzekli, że niema nadziei, natychmiast poszlę po księdza proboszcza. Upewniam, że mam do niego najzupełniejsze zaufanie.

— Daruj mi pani natręctwo; z obowiązku ponownie proszę dopuścić mnie do chorego; przynajmniej racz pani od lekarzy zażądać opinji w tej sprawie.

Prezesowa powstaje z siedzenia, krokiem niepewnym zbliża się do umierającego męża, ociera mu pot zimny z czoła, kilka słów szepce na ucho lekarzowi, poczem wraca do salonu.

— Teraz nie można, księże proboszczu, w żaden sposób nie można, ale wieczorem dam znać. Proszę nie mieć żadnej obawy.

— Daj Boże, aby nie było za późno. Żegnam panią.

O drugiej w nocy na plebanji odzywa się gwałtowne szarpanie dzwonka. Proboszcz wie, co to znaczy, więc zaraz zrywa się na równe nogi, z gorączkowym pośpiechem zabiera z kościoła, co potrzebne do zaopatrzenia chorych i przebiega puste, ciemne ulice miasta. Nie minął kwadrans, gdy stanął u łoża prezesa. Czy ma przed sobą umierającego czy umarłego, tego pytania rozstrzygnąć nie umie. Wprawdzie nie dostrzega żadnych śladów życia, ale lekarz ręczy, że serce bije jeszcze. Co tu zrobić? Należy uczynić, co z większem lub mniejszem prawdopodobieństwem pomoże duszy, choćby istniało niebezpieczeństwo, że sakrament udzielony zostanie nieważnie. Zatem kapłan wymówił słowa warunkowej absolucji, namaścił ciało olejami św., odczytał modlitwy liturgiczne i wrócił do siebie z gorzkim smutkiem w sercu.

Gdy rano szedł na Mszę św., ujrzał na murze kościoła świeżo nalepiony plakat, gdzie dużemi literami wydrukowano, że X. X., prezes instytucji kredytowej, członek wspierający takich a takich stowarzyszeń, kawaler tych a tych orderów, usnął w Panu „opatrzony św. Sakramentami". Tak ogłoszono dla publiczności. Czy jednak sumienie pani prezesowej może jej dać świadectwo, że spełniła wobec swego męża najważniejszy obowiązek miłości, by mu zapewnić zbawienie?

„Lilja gałganiarzy".

Dziewczynka Renia P., urodzona w jednym z wielkich szpitali paryskich nie znała swej matki, a ojciec opuścił ją prawie zupełnie. Poczciwa gałganiarka z nędznej ulicy, zamieszkałej przez samych gałganiarzy na odległem przedmieściu Paryża, wzięła ją do siebie. Dziewczynka rosła i wkrótce zaczęła pomagać swej przybranej matce. Już o trzeciej zrana chodziła z nią do miasta zbierać gałgany. W pięknych i bogatych dzielnicach miasta widywała nieraz dziewczątka w bieli, idące radośnie do kościoła, by tam przyjąć pierwszą Komunję, lub śpieszące na katechizm, i stąd nie opuszczała ją myśl uporczywa: „Ja także, mawiała, chcę chodzić na katechizm i przystąpić do pierwszej Komunji". Nie była dotąd ochrzczona.

Gdy miała około trzynastu lat, udało jej się pójść na kilka lekcyj katechizmu, lecz wkrótce zachorowała. Gruźlica niszczyła ten wątły organizm, zimnem poranków nadwerężony. Położyła się na swym nędznym tapczanie, by

już z niego nie powstać. Spokojna i cicha powtarzała: „Umrę przed pierwszą Komunją“. Zbliżała się chwila ostatnia; jedna z odwiedzających ją pań sprowadziła księdza do chorej i przyniosła białą sukienkę. Renata została ochrzczona w 13 roku życia. Dano jej na imię Marja.

Lecz już na bladej twarzyczce dziecka widać zbliżającą się śmierć. Trzeba się spieszyć. Z bliskiego kościółka przynoszą krucyfiks, dwa lichtarze, świeżą lilję, bo maj właśnie ma się rozpocząć. Ubierają chorą w białą sukienkę; koniecznie chce wstać: „Och, pani, błaga, nie mogę przyjąć pierwszą Komunję leżąc“. Posyłają po fotel, wykładają go poduszkami, lecz dziewczynka nie chce na nim się oprzeć: „Tak! całkiem prosto“, mówi. Z zachwytem przygląda się zawieszonej na swej wychudłej rączce, koronce, którą jej dopiero co darowano. Wkrótce ksiądz wchodzi na drabinę prowadzącą na owe poddasze, przeciska się przez ciasny otwór i składa Przen. Hostję na stole. Okoliczne kobieciny w łachmanach weszły tam za księdzem. Następuje wzniosła w swej prostocie chwila. Dziewczę otrzymuje pierwszą Komunję św.

„Teraz Reniu musisz się położyć“. — „Jeszcze nie“, odpowiada dziewczynka. Wciąż wyprostowana, bez żadnego oparcia, około trzech kwadransy pozostaje w skupieniu, na rozmowie ze swym Bogiem. Zgadza się wreszcie na powrót do łóżka, lecz zaledwie się na niem wsparła, cicho, bez cierpień, mała gałganiarka oddaje duszę Bogu.

W białym stroju, z różańcem i lilją w ręku, anielską dzieweczkę zawiózł na cmentarz karawan ubogich, za którym szli gałganiarze i dziewczątka w bieli.

(Przekład z książki O. Lhanda T. J., apostoła przedmieść paryskich.)

Z piśmiennictwa.

O. Fr. Świątek C. SS. R.: Świętość Kościoła w Polsce w okresie rozbiorowym i porozbiorowym. 33 ilustrowanych życiorysów świątobtiwych Polaków i Polek. Tom I. Stron 350. Kielce, nakł. SS. Służebnic N. Serca Jez. Cena 7·50 zł.

W pracy X. Świątka znajdujemy krótkie życiorysy świętych, błogosławionych i świątobliwych Polaków i Polek z ostatnich dwóch stuleci, przedewszystkiem jednak z ubiegłych stu lat. Wielu z nich znaliśmy i patrzyliśmy na ich pełne miłości Bożej życie. Między tymi, co niedawno odeszli po nagrodę do Pana, znajdujemy w książce wzmianki o księciu Augustynie Czartoryskim, którego beatyfikacja jest w toku, o Wandzie Malczewskiej, o Antonim Reichenbergu, o Janie Beyzynie, X. Stan. Markiewiczu, br. Albercie

Chmielowskim, Marji Teresie Ledóchowskiej, X. Arcyb. Bilczewskim i Cieplaku, biskupie Pelczarze, Marji Cieślance, Marji Kolumbie Białeckiej, Marji Ksawerze od Jezusa, karmelitance bosej, X. Budkiewiczu i innych, mniej może ogółowi znanych. Opowiadanie o ich życiu utrwala pamięć ich cnót i wzbudza pragnienie naśladowania. Żyli w naszych warunkach, łatwiej więc ich przykład zastosować w życiu codziennem. Życiorysy przeczyta każdy wierny z wielkim dla siebie pożytkiem. *X. St. Wier.*

Ks. Dr. J. Walter: Kapłan katolicki. Tłumaczył Paweł Kubicki, biskup sufr. sandomierski. Sandomierz 1930. 2 tomy. Str. XVIII + 366 + 598. Cena 15 zł.

Praca X. Waltera jest kapłanom, władającym niemieckim językiem, znana. Doczekała się wielu wydań, co świadczy o jej dobroci, i osobnego zachwalania nie potrzebuje. W pierwszej swej części zajmuje się życiem wewnętrznem kapłana, w drugiej więcej pracą duszpasterską. W trosce swej o dusze polskich kapłanów przyswoił to dzieło literaturze ascetycznej polskiej X. Biskup Kubicki we wzorowym przekładzie i rozszerzył je dopisami więcej niż podwójnie.

Na te właśnie dodatki Najczcigodniejszego Tłumacza zwracamy szczególną uwagę. Do każdego rozdziału oryginału wchodzą w dopiskach pracowicie zebrane wyjątki z polskich synodów, z kazań, przemówień i listów pasterskich naszych Arcypasterzy i wybitniejszych dzieł polskich. Dodatki te znakomicie uzupełniają oryginał i dociągają go w całej pełni do stosunków polskich. Żadna z dotychczasowych prac ascetycznych polskich nie była oparta na tak obfitym materjale, czerpanym z życia polskiego. Podnieść także jeszcze należy, że w I tomie dodany jest osobny rozdział poświęcony bibljotece kapłana, zawierający spis najwybitniejszych prac polskich i obcych. *X. St. Wieroński.*

Kalendarz św. Piotra Klawera na rok 1931, cena 1 zł. i Kalendarz misyjny dla dzieci i młodzieży na rok 1931, cena 20 groszy. Do nabycia w Sodalicji św. Piotra Klawera w Warszawie, ul. Warecka 10, w Krakowie, ul. św. Marka 25 i w Poznaniu, ul. Szymańskiego 6. Obydwa kalendarze zawierają wiele ciekawych zdarzeń z życia misjonarzy i ludów murzyńskich w Afryce.

Nadesłano do Redakcji:

O. Bogusław Prawdota: O liturgji dominikańskiej. Lwów, 1930. Wydawnictwo OO. Dominikanów. Cena 80 groszy.

O. Marjan Pirożyński: Co czytać? Poradnik w sprawie lektury religijnej dla maturzystów. Cz. I. Filozofja, teologja, historja Kościoła, czasopisma. Kraków 1930, wyd. XX. Jezuitów.

Adorjan Divéky: Św. Emeryk, patron młodzieży węgierskiej i jego stosunek do Polski. Warszawa 1930.

Adorjan Divéky: O katolicyzmie na Węgrzech. Kraków 1930.

Prześladowanie religji w Rosji sowieckiej. Warszawa 1930. Cena 25 groszy. Nakład Komitetu medalu „Cud nad Wisłą".

Św. Juda Tadeusz, apostoł, patron w rzeczach najtrudniejszych (nabożeństwo św. Judy Tad.). Kielce, 1930, nakł. SS. Służebnic N. Serca Jez.

R. Plus S. J.: Kaznodziejstwo realne i nierealne. Uwagi praktyczne dla kaznodziejów. Kraków 1930, nakł. księgarni katol. M. Łubieńskiej.

X. Kan. Marsot: Katechizm ślubów i stanu zakonnego. Przekład z franc. Poznań 1830, Księgarnia św. Wojciecha. Cena 5 zł.

O. Jacek Woroniecki Z. K.: Doniosłość wychowawcza liturgji eucharystycznej. Kraków 1930, Nakł. „Mysterium Christi" 0·60 zł.

X. Wojciech Mieszkowski: Znajomość ludzi czyli o temperamentach w życiu ludzkiem. Kraków 1930, nakł. XX. Salwatorjanów.

Fr. L. Thomas Regattieri O. P. T.: L'evangile eucharistique. Exhortation pour les heures d'adoration. Turin-Rome 1928, Marietti. 7 fr.

Podziękowanie Panu Jezusowi w Najśw. Sakramencie za niespodziewanie uzdrowienie z ciężkiej choroby składa Anna Baczyńska (Lwów).

Za ulgi i pociechy w czasie choroby w dniach Komunji św. i za uzdrowienie z niej składa najpokorniejsze dzięki P. Jezusowi eucharystyczoemu S. A. (Rohatyn).

Odpowiedzi Redakcji: A. K. Katowice, za wiadomości dziękujemy, prosimy o odpowiedni artykuł. — J. Sol. w K., dalszy ciąg artykułów o Mszy św. umieścimy w roku następnym. Dziękujemy za jednanie prenumeratorów. — W. Zięba w L., bardzo dobre i pięknie ujęte czytania z życia P. Jezusa znajdują się w książce M. Loyola: Jezus z Nazaretu; kosztuje 4·80 zł. O nauce św. Augustyna rozprawia szeroko prof. M. Straszewski w książce pt. Filozofja św. Augustyna na tle epoki. Pierwsze rozdziały książki obejmują doskonały opis owczesnego życia i życiorys św. Augustyna. Cena 3 zł. Do czytania duchownego nadaje się bardzo książka X. J. Koenna: Na drogach Pańskich. Cena 5·50. Książki do nabycia w Bibljotece Religijnej, Lwów, ul. Rutowskiego 5. — F. Król w T. Prosimy o dokładny adres, byśmy mogli przesłać roczniki. Niektórych już brak.

ZA POZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ.

Wydaje Komitet Redakcyjny. — Odpowiedzialny redaktor: *X. Ignacy Chwirut.*

NAKŁADEM TOW. „BIBLJOTEKA RELIGIJNA" WE LWOWIE.

Należytość pocztowa opłacona gotówką.